

## **MIECZYŚLAW ZŁAT**

### **OD DORADCY DO „UJAWNIONEGO” KONSPIRATORA**



**Mieczysław Złat (ur. 1927 r.), historyk sztuki. Od września 1980 r. doradca NSZZ „Solidarność” Dolnego Śląska. W lutym 1982 r. aresztowany, a następnie internowany w Nysie i Grodkowie. W grudniu 1982 r. zwolniony. Członek Komitetu Obrony Praw Człowieka oraz Krajowego Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. W 1985 r. za działalność społeczną pozbawiony funkcji kierownika Katedry Historii Sztuki Uniwersytetu Wrocławskiego.**

W dniach 11–13 grudnia 1981 r. miał odbyć się w Warszawie Kongres Kultury Polskiej, organizowany całkowicie niezależnie przez stowarzyszenia i związki twórcze i naukowe. Znalazłem się tam jako członek zarządu Stowarzyszenia Historyków Sztuki. Kongres zaplanowano na trzy dni, ale po dwóch został przerwany z powodu wprowadzenia stanu wojennego. Na szczęście w stolicy panował wtedy duży bałagan. Ubecja skoncentrowała się na wyłapywaniu miejscowych działaczy i nie skorzystała z okazji zatrzymania przyjezdnych. Dzięki temu wielu moich kolegów wróciło do Wrocławia już pierwszymi popołudniowymi pociągami 13 grudnia. Ja również zdałem sobie sprawę, że to dla mnie szansa, i że gdybym pozostał w domu, to już bym siedział. Postanowiłem więc wyjechać w nocy, aby we Wrocławiu być rankiem, kiedy na ulicach jest już większy ruch i człowiek nie rzuca się w oczy. Tak też się stało. Oczywiście do domu wrócić nie mogłem. Zaczął się dla mnie okres konspiracji. Odtąd dość często zmieniałem kwatery, których użyczali mi życzliwi ludzie.

Zaraz po powrocie zacząłem szukać kontaktów z kolegami. Od znajomych dowiedziałem się, że przewodniczący „Solidarności” naszego regionu Władysław Frasyniuk wymknął się Służbie Bezpieczeństwa. O szczegó-

łach opowiedział mi wkrótce sam, ale wcześniej musiałem go odnaleźć. Nie trwało to długo. Okazało się, że w Pafawagu jest organizowany wielki komitet strajkowy. Udało mi się tam dotrzeć. Milicja nie dysponowała jeszcze wystarczającymi środkami, a może i nie miała odwagi, by spacyfikować zakład. Spotkaliśmy się tam całą grupą 16 grudnia. Było wielu kolegów, dowiedziałem się, kto ocalał, a kogo zabrali. Wspólnie postanowiliśmy, że trzeba zastrajkować, protestując przeciw wprowadzeniu stanu wojennego. Pamiętam, że był straszny młyn. Co chwila ktoś wchodził, z minuty na minutę gromadziło się coraz więcej ludzi.

Pod wieczór musiałem podjąć decyzję: zostać w tym tłumie i bałaganie czy skorzystać z zaproszenia, które otrzymałem, i spędzić noc w mieszkaniu przy ulicy Oławskiej, nowym lokum na parę najbliższych dni. Postanowiłem wtedy przespać się wygodnie i to zadecydowało o moich dalszych losach. Około 21.30 zabrałem się z kimś, kto jechał w kierunku Starego Miasta. Z Frasyniukiem umówiłem się na rano w zakładzie. Tymczasem nad ranem ZOMO i wojsko z zaskoczenia zaatakowały Pafawag. Na szczęście wielu osobom udało się uciec, między innymi przewodniczącemu.

Rano otrzymałem wiadomość, że jest już po pacyfikacji. Wiedziałem, że znowu muszę szukać Frasyniuka, bo przecież nie zwolnił mnie z funkcji swego doradcy. Odnalazłem go po dwóch lub trzech dniach. Spotkaliśmy się w jednym z budynków przykościelnych. Najbliższe dni mieliśmy spędzać w gronie kilku osób. Wiedzieliśmy, że niektórzy z nas absolutnie nie powinni wychodzić. Odnosiło się to w szczególności do Frasyniuka, którego wszyscy znali. Należało jednak zmieniać co jakiś czas kwatery. Ci, którzy mniej rzucali się w oczy, mieli pełnić funkcję łączników, na przykład z Kornelem Morawieckim, no i organizować lokum. Nasze kolejne klasztorne schronienie musieliśmy opuścić ze względów bezpieczeństwa w Wigilię, 24 grudnia. Pamiętam, że po mieście chodziły plotki (jak się później okazało, świadomie rozsiewane przez SB), iż ZOMO planuje w święta wielką akcję przeczesywania parafii, klasztorów i kościołów w poszukiwaniu osób ukrywających się. Dzisiaj sędzę, że nigdy by się na coś takiego nie odważyli, ale wtedy nie byłem tego pewien. To był dla nas sprzyjający dzień, ponieważ w Wigilię po południu zawsze zaczyna się duży ruch. Mnie przypadło „przeflancowanie” Frasyniuka i Barbary Labudy, ponieważ zgodnie z praktyką ci, którzy byli mniej narażeni na identyfikację, rozprawdzali bardziej znanych działaczy opozycji. Dość późnym wieczorem zaprowadziłem ich do prywatnego mieszkania przy ulicy Jedności Narodowej. Tam się pożegnaliśmy, życząc sobie spokojnych świąt.

Musiałem jeszcze znaleźć kwatery dla siebie. Pomógł mi w tym mec. Lech Adamczyk, który dał mi klucze do opuszczonej kawalerki przy ulicy Rejtana. Wigilię i pierwszy dzień świąt spędziłem samotnie. W sylwestra odwiedziłem Władka Frasyniuka i w małym, zaufanym gronie spędziliśmy noc bardzo miło, usiłując zapomnieć na parę godzin o stanie wojennym.

Muszę jeszcze wspomnieć z wdzięcznością o człowieku, który bardzo mi wówczas pomógł. Mam na myśli naszego ówczesnego rektora prof. Józefa Łukasiewicza. Kiedy postanowiłem się ukrywać, stało się dla mnie jasne, że mogę stracić pracę. Wystarczyło, że nie pojawiłbym się kilka dni na uczelni. Bałem się tego, więc poszedłem wieczorem do prywatnego mieszkania profesora, którego zresztą znałem z wspólnej wcześniejszej działalności opozycyjnej. Chciałem zasięgnąć jego rady. Rektor zapytał mnie wówczas, czy korzystałem z urlopów naukowych, był bowiem przepis mówiący o tym, że pracownikowi naukowemu od stopnia doktora habilitowanego wżwyż co siedem lat przysługuje roczny urlop. Ponieważ nigdy z tych uprawnień nie korzystałem, rektor wpisał na moim podaniu zgodę na urlop naukowy do wakacji. Nie dane mi było go wykorzystać, ponieważ w lutym 1982 r. zostałem aresztowany; do pracy mogłem wrócić dopiero w grudniu tegoż roku.

Myślę, że jeśli chodzi o pierwsze tygodnie stanu wojennego, to nie docenia się roli Kościoła, zarówno hierarchów, jak i niższego duchowieństwa. Wtedy to parafie i klasztory stały się głównym miejscem schronienia dla działaczy „S”. Nie jest już przecież tajemnicą, że Frasyniuk przez pierwsze dni ukrywał się w siedzibie Kurii Arcybiskupiej. Znaczącą rolę odegrał wówczas abp Henryk Gulbinowicz, zawsze bardzo otwarty na wspieranie opozycji.

Zaraz po Nowym Roku trzeba było znów przeprowadzić Władka. 5 i 6 stycznia 1982 r. doszło do masowych aresztowań. Ponieważ pozostawałem nadal jego doradcą, przyjęliśmy zasadę, że mieszkamy osobno. Mogłem pojawiać się u niego tylko w ważnych sprawach.

Kwestią lokali dla ukrywających się kolegów z „S” zajmowałem się do czasu mojego aresztowania. Oczywiście nie działałem sam, tylko w grupie, specjalnie w tym celu zorganizowanej. Szczególną rolę odegrały w niej kobiety, dziś przeważnie zapomniane, które pracowały niezwykle ofiarnie i skutecznie. Przekazywały mi adresy osób zdecydowanych udzielić schronienia tym, którzy się ukrywali. Następnie chodziłem z nimi do ludzi chętnych przechować u siebie działaczy opozycji i uprzedzałem, że konsekwencje mogą być dość przykre. Często zdarzało się, że ten, kto początkowo deklarował się, iż ukryje jedną lub dwie osoby, po rozmowie ze mną rezygnował.

Oczywiście nie miałem pretensji, jeśli ktoś wycofywał się ze względu na bezpieczeństwo własne lub rodziny. Dokonywałem również wstępnej selekcji adresów. Najlepsze były mieszkania w centrum i ludnych blokowiskach, z dobrą komunikacją i o dużym natężeniu ruchu. Robiliśmy wywiady na temat gospodarzy, a także ich sąsiadów. Najlepszym kandydatem na właściciela potencjalnego lokum była samotna osoba (wdowa, nauczycielka, akowiec). Oczywiście ze względów konspiracyjnych nie przechowywaliśmy nikogo, a zwłaszcza Frasyniuka, w jednym miejscu dłużej niż kilka dni.

Na początku 1982 r. organizowałem również spotkanie Władka z Kornelem Morawieckim. Obaj byli poszukiwani. Z tym drugim znałem się jeszcze z czasów przed „S”. Kornel był redaktorem „Biuletynu Dolnośląskiego”, który wychodził od 1979 r. Został też delegatem na zjazd w Gdańsku. Ja wprawdzie z zaproszenia na zjazd nie skorzystałem, ale w czasie dwutygodniowej przerwy brałem udział w przygotowaniu różnych projektów, notabene również na wypadek wprowadzenia stanu wojennego; Frasyniuk powołał nawet specjalną komisję, która miała się tym zajmować, w składzie: prof. Roman Duda, Morawiecki i ja. Poznaliśmy się wówczas nieco bliżej. Zapewne dlatego w styczniu 1982 r. Kornel uznał, że można mi zaufać, i zgodził się na moje pośredniczenie w kontaktach między nim a Frasyniukiem.

Wkrótce jednak moja działalność opozycyjna została przerwana. 24 lutego 1982 r. wróciłem do konspiracyjnego mieszkania tuż przed godziną milicyjną. Chwilę potem zadzwonił dzwonek do drzwi. Było dla mnie jasne, co to oznacza: nakryli mnie. Postanowiłem nie reagować na dzwonek, pukanie i wezwania do otwarcia drzwi, a zyskany w ten sposób czas wykorzystać na zniszczenie materiałów, które miałem przy sobie. Do dziś nie wiem, skąd ubecy dowiedzieli się o tym mieszkaniu. Czy ktoś doniósł, czy obserwowano je od dłuższego czasu – trudno powiedzieć. W każdym razie to, co miałem trefnego, spaliłem, spuściłem wodę, zapaliłem wszystkie światła i czekałem, aż wywalą drzwi.

Po chwili wpadli z bronią do mieszkania. Początkowo byłem trochę zaskoczony ich agresywnością, potem zacząłem z nich kpić. Zwłaszcza że spodziewali się zastać kogoś innego, jakąś większą grupę z Frasyniukiem. Nawet nie kryli swego rozczarowania. Tak czy inaczej, zgarnęli mnie.

Rozpoczął się nowy etap w moim życiu. Zawieźli mnie do aresztu śledczego na Łąkowej. Trzymali mnie tam bezprawnie, bez sankcji prokuratorskiej, dziesięć dni. Długie przetrzymywanie w areszcie śledczym było zresztą jedną z metod represjonowania opozycji. Dla „zmiękczenia” wsadzili mnie do ośmioosobowej celi, w której większość przetrzymywanych stanowili

recydywiści z wysokimi wyrokami. Muszę jednak przyznać, że zachowywali się zupełnie przyzwoicie. „Solidarność” nawet wśród kryminalistów miała duży kredyt sympatii i zaufania. Warunki w tym areszcie były o wiele cięższe niż w zwykłych więzieniach.

Drugiego lub trzeciego dnia „zaprosili” mnie na przesłuchanie. Kategorycznie odmówiłem rozmowy na tematy polityczne i z góry zastrzegłem, iż niczego nie podpiszę. Obawiałem się, że skoro mnie tak długo przetrzymują, to dostanę sankcję prokuratorską i wytoczą mi proces, osoby wyznaczone do internowania opuszczały bowiem areszt zwykle po trzech, czterech dniach – wywożone do Nysy lub Grodkowa.

3 marca 1982 r. wezwano mnie i wręczono mi zawiadomienie, że zostanę internowany. Wkrótce wywieźli mnie do Nysy i umieścili w tak zwanym ośrodku internowania (eufemizm, ponieważ chodziło o zwykłe więzienie). Dwie kondygnacje zajmowali internowani, trzecią – więźniowie kryminalni. Kontakty z nimi były ograniczone (obsługiwali kuchnię) i układały się zupełnie znośnie. Więzienie było ogromnie zatłoczone. W małych celach stało po kilka trzypiętrowych pryczy. Było tak ciasno, że między pryczami mogły się poruszać najwyżej dwie osoby. Wiele osób trafiło tam wcześniej, w Wigilię. Niektórych zwolniono po dwóch, trzech tygodniach. Na ich miejsce dowożono później następnych. Ostry reżim panował tam do maja 1982 r. Później było dużo lepiej. Na tę zmianę wpłynęło wiele czynników, między innymi nowa sytuacja polityczna, nasz wewnętrzny opór i protesty. To sprawiło, że zaczęto nas traktować łagodniej.

Nasze szeregi powoli zaczynały się przerzedzać. Coraz częściej udzielało przepustek, z których nie wszyscy wracali. Zaczęły się także zwolnienia. W lipcu postanowiono pozbyć się internowanych w Nysie. „Niedobitki”, które pozostały, przewieziono do Grodkowa. Było to więzienie o wiele sympatyczniejsze: dyscyplina poluzowana, codziennie spacer, nawet można było grać w siatkówkę. Z czasem (wrzesień–październik) wywalczyliśmy otwarcie cel. Tak często psuliśmy zamki, że zrezygnowano z zamykania ich. Do początku grudnia pozostało nas tam tylko kilkudziesięciu.

W ciągu tych miesięcy internowania miałem tylko jedną rozmowę z SB. Przyjąłem bowiem zasadę nierozmawiania z nimi. Ten jeden raz w Nysie oferowano mi paszport i emigrację, oczywiście odmówiłem. Siedząc tam, otrzymałem informację, że SB szykuje mi we Wrocławiu sfinansowany proces polityczny. Miałem zostać oskarżony o współpracę z wywiadem RFN. Czekałem więc, kiedy to się potwierdzi. Ponieważ ostrzeżenie pochodziło z bardzo wiarygodnego źródła, miałem niezłą nerwówkę. Na szczęście nie

posunięto się aż tak daleko. Po latach okazało się, iż moje obawy nie były jednak bezpodstawne. Od jednego z dziennikarzy dowiedziałem się, że prasa wrocławska była przygotowana do zamieszczenia informacji „zapowiadających” proces. Zaniechali tego jednak.

Z kolei, kiedy byłem jeszcze w Grodkowie, odwiedził mnie jeden z moich znajomych, członek PRON<sup>1</sup>. Przyjechał z Warszawy, był do mnie bardzo przyjaźnie nastawiony. Powiedział mi, że jestem jednym z ostatnich profesorów siedzących w więzieniu (był październik 1982 r.), że PRON chciałby się jakoś przyczynić do mego zwolnienia, pod jednym wszakże warunkiem: że zobowiążę się, choćby tylko ustnie, nie podejmować działalności politycznej. Oczywiście odpowiedziałem, iż żadnych warunków nie przyjmuję. Takie propozycje (zgoda na emigrację, bycie „grzecznym” itd.) składano wielu osobom. Ludzie na ogół odmawiali. Myślę, że Jaruzelski nie przemyślał do końca konsekwencji internowania. Gdyby miał większą wyobraźnię i pomyślał, co się z tymi ludźmi będzie działo, to może by tego rozwiązania nie zastosował. Przecież to wielomiesięczne przetrzymywanie elit „S” razem, w kilku miejscach, nie tylko podtrzymywało nasz opór, ale także dokształcało. Wymyślaliśmy tam różne rzeczy, nawiązywaliśmy liczne kontakty, które później przez lata okazywały się bardzo przydatne. Chyba bez tego nie byłibyśmy później tak świetnie zorganizowani w całej Polsce. Osobiście wspominam obozy internowanych jako nieporównywalne z niczym doświadczenie życiowe, okazję do bliższego poznania różnych ludzi i środowisk.

Ostatecznie 3 grudnia 1982 r. zostałem zwolniony. Gdy opuszczałem zakład karny w Grodkowie, pozostawało w nim nie więcej niż dwadzieścia osób. Święta spędziłem już w domu. Zacząłem odnawiać kontakty z kolegami z „S”. Frasyński już siedział, podobnie Piotr Bednarz. Obowiązki przewodniczącego przejął Józef Pinior, z którym jednak tylko raz zdążyłem się spotkać. Na przełomie roku on również wpadł. W 1983 r. powróciłem do swych konspiracyjnych obowiązków. Nadal pełniłem funkcję doradcy „S”. Piniora zastąpił Marek Muszyński, elektronik z Politechniki. Razem z Eugeniuszem Szumiejką zwrócili się do mnie i zaproponowali mi współpracę z nowym przewodniczącym. Poza tym, że byłem jego doradcą, uczestniczyłem w nieformalnych spotkaniach organizowanych przez środowisko

---

<sup>1</sup> Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego – organizacja zainicjowana przez władze stanu wojennego pod koniec 1982 r. (przewodniczący Jan Dobraczyński). Organizacja miała zapewnić władzom poparcie społeczne; z tego powodu były one skłonne iść na ustępstwa i koncesje wobec postulatów osób zaangażowanych w PRON.

akademickie. Spotkania te odbywały się w mieszkaniach prywatnych, przychodzili na nie głównie pracownicy naukowcy wrocławskich uczelni. Na ogół liczba uczestników nie przekraczała kilkunastu osób. W lipcu 1983 r. zniesiono stan wojenny. Od tej pory było nam o wiele łatwiej działać. Rygory policyjne musiały po prostu zelżeć.

W 1984 r. nadal kontaktowałem się z Muszyńskim i Szumiejką. Ponadto zaczęła mnie nachodzić SB. Otrzymałem wezwanie do Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w związku z działalnością Komitetu Obrony Praw Człowieka, organizacji utworzonej w celu obrony więźniów politycznych. Był to rok wielkich procesów politycznych. Sądono tych działaczy „S”, którzy „przeskrobali” coś, co kwalifikowało się nie tylko na internowanie (Frasyniuk, Labuda, Pinior). Staraliśmy się być obecni na tych procesach.

Wezwań do ubecji otrzymywałem wiele, ale je lekceważyłem. Nie wpuściłem do domu żadnego ubeka, a więc nie mogli mi wręczyć bezpośrednio do rąk wezwania od prokuratora. Czasem się wściekali i zostawiali wezwanie w drzwiach. Chowałem je na pamiętkę, wychodząc z założenia, że nie jestem zobowiązany wyciągać wezwania z drzwi. Ponieważ w domu byłem dla nich nieuchwytny, zaczęli mnie nachodzić na uczelni. Szczególnie często przychodził niejaki por. Klonowski. Gdy któryś z nich wchodził na salę wykładową, starałem się ich przedstawić studentom, wtedy szybko się wycofywali, ponieważ mieli działać dyskretnie.

W 1985 r. przybyło mi „opozycyjnych” obowiązków. Otrzymałem propozycję udziału w pracach rady programowej „Solidarności”, która miała się spotykać raz w miesiącu lub częściej, w zależności od sytuacji. Jej zadaniem było przygotowanie różnych rozwiązań dla związku, ukrytego głęboko w podziemiu. Zgodziłem się na udział w pracach rady. Zbierała się na ogół w Warszawie, choć zawsze w innym miejscu. Przewodniczył jej dziennikarz Ernest Skalski z Warszawy. Stąd byli również profesor psychologii Janusz Grzelak i redaktor Jacek Maziarski. Pozostałe regiony reprezentowali pojedynczy przedstawiciele: z Krakowa językoznawca prof. Roman Laskowski, z Gdańska późniejszy rektor UG Robert Głębocki, z Poznania pracownik naukowy UAM Tomasz Naganowski. Rzadko się dziś o tej radzie wspomina, nie była bowiem szerzej znana, nie została też wykryta przez SB. Do moich obowiązków należało przedstawianie sytuacji politycznej i społecznej w moim ośrodku, a jeśli to możliwe, i w regionie. Podobnie czynili pozostali. Na tej podstawie można było aktualizować stan nastrojów społecznych, zorientować się, jak dalece jest zorganizowana opozycja w różnych częściach kraju. Niejednokrotnie władze „Solidarności” zlecały radzie

jakiś temat, który staraliśmy się przedyskutować w naszym sześćo–siedmioosobowym gronie. (Czasem było nas więcej, zapraszano na przykład Janusza Onyszkiewicza). Jaki był pożytek z tych naszych dyskusji, zaleceń i wniosków – trudno mi ocenić. Pewnie niewielki, poza wymianą informacji i utrzymywaniem kontaktu między głównymi ośrodkami „S”.

W 1985 r. rozpocząłem działalność w Społecznym Komitecie Nauki. Wrocławski SKN tworzyło kilka osób ze środowiska akademickiego. Do utworzenia Komitetu zachęcała Warszawa, gdzie analogiczna organizacja powstała już wcześniej. Geneza wrocławskiego SKN była jednak dość skomplikowana. W naszym środowisku już wcześniej istniały podobne struktury, dominowali w nich adiunkci, a więc na ogół ludzie młodzi i z natury energiczni. W pewnym momencie uznali jednak, że należy „ruszyć” profesurę. I tak powstał u nas SKN, którego przewodniczącym został śp. prof. Krzysztof Pigoń, który wraz z dr. Andrzejem Ładomirskim odpowiadał za łączność z Warszawą. W skład tego gremium weszli także prof. Roman Duda i prof. Andrzej Wiktor. SKN wydawał komunikaty i biuletyny, aktywizował środowiska akademickie wokół akcji czy protestów społecznych, wspierał finansowo represjonowanych naukowców, przede wszystkim zaś zbierał informacje ze wszystkich wrocławskich uczelni, chociaż tylko dwie największe były w nim reprezentowane.

Pod koniec 1985 r. na uczelniach zaczęły się represje. Ministrem edukacji był wówczas prof. Benon Miśkiewicz, zniechęcony partyjniak, który wyobrażał sobie, że kiedy zwolni kilku nieznośnych nauczycieli akademickich, to będzie spokój. Nie mógł sobie jednak na zbyt wiele pozwolić, ponieważ władze nie chciały już za bardzo prowokować społeczeństwa. Na początek postanowił osobom „niewygodnym” poodbierać stanowiska kierownicze. Najmocniej jego działania odczuł Uniwersytet Poznański, gdzie kilka osób wyrzucono z pracy. U nas nie było tak źle. Stało na tym, że minister wezwał naszego rektora, odpowiednich przedstawicieli partii i ubecji i zakomunikował im, że tacy to a tacy profesorowie i docenci źle się sprawują i nie wyobraża sobie, aby tych dziesięciu panów mogło piastować jakieś funkcje. Postanowiono, że ta dziesiątka zostanie odwołana. Wśród nich było sześciu przedstawicieli Uniwersytetu Wrocławskiego, czterech z nich reprezentowało Wydział Historyczno-Pedagogiczny. Ta szóstka to: prof. Roman Duda – odwołany ze stanowiska dziekana Wydziału Matematyczno-Fizycznego, prof. Czesław Hernas oraz prof. Adam Galos – ze stanowisk dyrektorów instytutów, prof. Krystian Matwijowski – z funkcji dziekana mojego wydziału, prof. Wojciech Wrześniński – ze stanowiska kierownika zakładu oraz ja – ze stanowiska kierownika katedry.



Znamienna była reakcja środowiska. Dzięki takim organizacjom jak SKN podpisano liczne protesty i bojkotowano objęcie wakujących stanowisk. Gdy odwołano dziekana Matwijowskiego, rezygnację zgłosiło troje spośród czworga prodziekanów. Na moim wydziale znalazł się wprawdzie następca, ale gdzie indziej o następców było o wiele trudniej.

To był jednak dopiero początek. Na następny rok zaplanowano tak zwaną akcję weryfikacyjną kadry akademickiej, pod pozorem oceny dorobku naukowego i aktywności na tym polu. Powstały nawet specjalne komitety, naszpikowane partyjnymi gorliwcami, których głównym celem w gruncie rzeczy była ocena tak zwanej postawy obywatelskiej. Służyło to zamaskowaniu działań wymierzonych przeciw konkretnym osobom. Weryfikacja szła dwoma torami: oficjalnie przez wydziały, które powoływały komisje. Te starały się nie wypowiadać zbyt ostro. Niektórzy koledzy, nawet partyjni, chcieli nas bronić, często używali pokretnych formuł, na przykład: „postawa obywatelska pod niektórymi względami budzi wątpliwości”. Decydującą opinię wydawała jednak organizacja partyjna, która „pracowała” równoległe, wykorzystując materiały dostarczone przez SB. Jeśli chodzi natomiast o próby wyrzucenia z uczelni pracowników naukowych, to pamiętam, że na Uniwersytecie Wrocławskim groziło to jedynie dwóm adiunktom: Adolfowi Juzwence i Włodzimierzowi Sulei. W tym czasie nastąpiła zmiana na stanowisku rektora, został nim polonista prof. Mieczysław Klimowicz. Władze bardzo chciały osoby bezpartyjnej na to stanowisko, ponieważ obawiały się, że jeśli wezmą „swojego”, to poniosą porażkę. Klimowicz postawił warunek: zgodzi się być rektorem, jeśli Juzwenkę i Suleję zostawią w spokoju. Był już rok 1986.

Ten rok zapadł mi w pamięci z jeszcze jednego, nieco groteskowego powodu, jakim było tak zwane ujawnienie opozycji, które zaczęło się około 12 września. Wyglądało to mniej więcej tak, że albo wzywano niektórych opozycjonistów do siedziby SB, gdzie odczytywano im grzechy i następnie proponowano podpisanie protokołu, albo dyskretnie odwiedzano ich w domach i dawano do zrozumienia, że ich działalność konspiracyjna jest bezpiecie doskonale znana. Nie bardzo wiedzieliśmy, o co chodzi, bo naturalnie nic nie zostało oficjalnie ogłoszone. Któregoś dnia rano niektórzy ludzie po prostu zniknęli. Pojawiły się przypuszczenia, że to nowa fala aresztowań.

Tego dnia po południu przed bramą domu zastałem dobrze mi znanego „obiekowego”, por. Klonowskiego. Zignorowałem go i nie pozwoliłem mu wejść do mieszkania, zostałem więc wezwany do siedziby Służby Bezpieczeństwa, gdzie już zwierzchnik Klonowskiego – przedstawiający się z uśmie-

chem: „kapitan Piotrowski” (!) – przeczytał mi długą listę organizacji, do których według niego należałem. Miałem coś wspólnego najwyżej z co dziesiątą z wymienionych organizacji. Po czym wygłosił formułkę, że tego i tego dnia zostało to ujawnione. Następnie chciał, żebym to oświadczenie podpisał, a kiedy odmówiłem – podpisał sam. Tak wyglądało moje „ujawnienie”\*

*Piotr Cichoracki i Grzegorz Waligóra*

---

\* Relację opracowano na podstawie obszernego wywiadu udzielonego przez prof. Mieczysława Złata w maju–czerwcu 1998 r. Wyboru fragmentów z nagranych taśm dokonali przeprowadzający wywiad Piotr Cichoracki i Grzegorz Waligóra.